ŁÓPTA - Dzień Pierwszy

Poniższa notatka powstała z szacunku do legendarnego "Łóptaka", za którym tęsknią zarówno twórcy jak widzowie. Po cichu liczymy, że wpłynie to na jego tryumfalny powrót na Łópcie nr 29.

Pragniemy zaznaczyć i ostrzec, iż poniższe recenzje mają charakter jak najbardziej subiektywny. Dlatego też nie boimy się podpisywać pod nimi swoimi nazwiskami i chętnie przyjmiemy krytykę naszej krytyki.

Ponieważ nasza prawda nie jest najprawdziwsza i jedyna, dla równowagi umieszczamy oceny widzów zebrane i podliczone po każdym spektaklu.

Liczymy, że poniższe teksty przyczynią się do wymiany poglądów w cztery oczy z zespołami, których praca i wysiłek dała nam zajęcie do 6 nad ranem. Chętnych do rozmowy zapraszamy do sali 315.

Recenzenci

„Terefere"

Łódzki Teatr reFORMA otworzył 28. Łódzki Przegląd Teatrów Amatorskich spektaklem pt. „Panna Julia". Młodzi twórcy wybrali na swoją pierwszą premierę XIX-wieczny tekst Augusta Strindberga; naturalistyczny dramat traktujący o miłości, pożądaniu i walce klasowej. Zadanie, jakie przed sobą postawili, należy uznać za ambitne, wyjątkowo trudne do zrealizowania – młodzi i niedoświadczeni artyści w starciu z poważną i dojrzałą tematyką. Śmiem twierdzić, że zadaniu nie podołali.

Największą bolączką spektaklu jest jednostajne tempo. Od początku do końca rzecz rozgrywana jest w jednym rytmie – co najwyraźniej widać w emocjach aktorów. Siłą rzeczy cierpią na tym dialogi, w zasadzie pozbawione intencji. Stosunek postaci do siebie, ich relacje są płytkie, nieinteresujące. Podobnie zresztą powierzchniowo zostały potraktowane tematy, o których pisał Strindberg. Autorzy spektaklu ślizgają się po nich jakby byli pigmejami, którym kazano grać w hokeja. Motywacje postaci w zasadzie nie istnieją, pozostają jedynie wyrażone w słowie. Rzecz jasna, należy zrzucić to na karb braku doświadczenia aktorów i reżyserki (Pauliny Kamockiej, która wciela się również w tytułową bohaterkę) – w starciu z tak potężną rzeczą musieli polec.

Równie po macoszemu potraktowano styl spektaklu – należy rzec, że konwencja rozmywa się totalnie. Nie jest to ani naturalistyczny dramat, ani komedia (a komediowe elementy się pojawiają – nie wiadomo jednak czy zamierzenie). Wszystko rozpływa się w nieokreśloności, przez co niezwykle trudno jest widzowi znaleźć powód do „wejścia" w historię rozgrywającą się na scenie. Autorzy sami piszą o swoim przedstawieniu, iż ma ono „charakter historyczny" , ale niczego to nie wyjaśnia, bo wyjaśnić nie może.

Niekonsekwencja widoczna jest również w grze aktorskiej. Bohaterowie np. nagle wybuchają, nie mając ku temu wyraźnych powodów (a przynajmniej nie w emocji czy intencji). Wyjątek stanowi kreacja Mateusza Chwiałkowskiego, wcielającego się w rolę lokaja, Jeana. Niestety, jest on konsekwentnie nudny, brakuje mu pomysłu na postać, snuje się po scenie. Obdarzony pięknym głosem (chętnie i miło się go słucha), pozostał kompletnie niewykorzystany (bardzo szkoda, bo był potencjał do stworzenia ciekawej, cynicznej postaci). Julia Pauliny Kamockiej stara się uwodzić, ale robi to nieudolnie, zaś kulminacyjnym punktem jej występu jest oskarżycielski, bardzo mocny i wulgarny, monolog skierowany do Jeana (tak mocny, że aż zdaje się być wyjęty zupełnie z innego świata). Niewykorzystana pozostała również postać Krystyny, narzeczonej Jeana (kreacja Anny Fijałkowskiej). Pojawia się jedynie na początku i pod koniec spektaklu, nie ma miejsca i pomysłu na to, jak stać się elementem opowiadanej historii. Pozostaje jedynie dodatkiem do relacji Jeana oraz Julii. Cała trójka równie konsekwentnie unika prób normalnej rozmowy, uparcie tkwiąc w nienaturalnej manierze (co spowodowane jest tym, że nie wiedzą, o czym tak naprawdę mówią).

Nie sposób nie wspomnieć o tym, że spektaklowi towarzyszyła oprawa muzyczna wykonywana na żywo. Autorem wszystkich wykonywanych utworów jest Piotr Piątkowski. Jakkolwiek wykonanie oraz same kompozycje stoją na wysokim poziomie, to jednak było ich mało i zostały użyte z brakiem rozmysłu. Muzyka raz jest elementem przedstawionego świata, innym razem nie – bohaterowie zdają się ją słyszeć tylko w wybranych dla siebie momentach, nie ma dla tego żadnego klucza. Tutaj również mamy do czynienia z niewykorzystanym potencjałem.

W drobnych elementach również widać było rażącą niekonsekwencję. Piwo, które Jean nalewa Julii opatrzone zostało etykietą „Piwo Hrabiowskie", ale w innym miejscu Krystyna patrząca na pusty stół mówi: „ale tu bałagan". Taka niedbałość w szczegółach jest tym bardziej widoczna, jeśli trywializuje się aspekty najważniejsze, kluczowe. A z trywializacją mieliśmy do czynienia od początku do końca. Wspomniane już rekwizyty (raz istotne, innym razem lekceważone) czy zerowa ingerencja w oświetlenie (na początku rozpalone lampy gasną dopiero w finale).

Dość powiedzieć, że w pewnym momencie na poważne, mocne i konkretne zarzuty Jeana, Krystyna odpowiada jakby od niechcenia i bez emocji: „terefere". I właśnie z takim teatralnym „terefere" mieliśmy do czynienia.

Nikodem Księżak

Ocena: 1,5/5

Ocena widzów: 3,9/5

„Na żywo w Krainie lodu"

Teatr Spadających Gwiazd, z Domu Kultury z Biblioteką w Ksawerowie, zaprezentował teatralną

wersję filmowego przeboju „Kraina lodu” (z 2013 roku). Grupa teatralna dzieli się na dwie grupy wiekowe (od 5 do 12 lat i od 13 do 18 lat), jednak raz do roku tworzą jeden spektakl razem, aby wymienić się doświadczeniem i pomóc sobie nawzajem. Tak było i tym razem. „Przeniesienie filmowego obrazu, muzyki, czy efektów specjalnych na scenę teatralną jest dla nas wspaniałą zabawą i cennym doświadczeniem”, mówi instruktor i animator teatralny Monika Marek. Ja, jako widz, odebrałem to w 100%. Kiedy tylko zasiadłem na widowni od razu poczułem, że znajduję się w innym świecie. W świecie magii, czarów, przyjaźni i miłości. W świecie, w którym wszystko jest możliwe. Ogromnym plusem była scenografia, która pomogła mi znaleźć się w tym świecie. A jeszcze większym, były kostiumy, które zostały specjalnie uszyte na potrzeby przedstawienia dla (aż!) 19 postaci!

Spektakl zaczął się od piosenki „Ulepimy dziś bałwana”, w której, główna bohaterka, grana przez Paulinę Suchcicką, udowodniła, że nie brak jej talentu do śpiewania. Dalszy rozwój wydarzeń, był skróconą wersją bajki Disney’a. W przedstawieniu można było odnaleźć znane kwestie z filmu, jak i piosenki. W tym Oscarową „Mam tę moc” w wykonaniu Natalii Hibner. I właściwie jest to jedyna kwestia, która pozostawiła niedosyt. Brakowało mi ingerencji w tekst, w fabułę. Film widziałem już setki razy i znam go od deski do deski. Spodziewałem się, że w spektaklu zobaczę coś nowego. Jednak w trakcie oglądania przedstawienia, zdałem sobie sprawę, że twórcy doskonale się tym bawią. Robią to co kochają. Pokazują coś, co im się spodobało, i w czym czują się najlepiej. Jedną z niewielu zmian, na jaką zdecydowali się autorzy, była zmiana gazdy na gaździnę, w którą wcieliła się Urszula Biegun. I okazało się to być pozytywnym zaskoczeniem.

Jestem pełen podziwu pracy Zuzanny Janus, która biegała po scenie w, przepięknie wykonanym, kostiumie bałwana Olafa. Oraz 9 troli, w które wcieliła się najmłodsza grupa aktorów, w tym sześcioletni Przemysław Palma, z którym miałem możliwość porozmawiać przed spektaklem. Kiedy zapytałem się go czy pamięta swój tekst, odpowiedział, że ostatnio grali przed wakacjami, więc w sumie to chyba nie. Ale najwidoczniej mnie okłamał, ponieważ na scenie poradził sobie znakomicie. Zresztą, jak i cały zespół z reżyserką na czele.

Widać że „Kraina lodu” jest spektaklem nie tylko dla dzieci, ponieważ dorośli i jury, siedzący na widowni, bawili się jeszcze lepiej, niż aktorzy na scenie. Dziękuję teatrowi Spadających Gwiazd, za niesamowite przeżycie. Zawsze chciałem zobaczyć bajkę Disney’a na żywo. I nie spodziewałem się, że spektakl w wykonaniu tak młodej grupy teatralnej wywoła u mnie tyle pozytywnych emocji.

Jakub Lisiak

Ocena recenzenta: 4,5/5

Ocena widzów: 4,9/5

„Letko z radiem”

Teatr Nocnych Marków z Ksawerowa pokazał na tegorocznej ŁÓPCIe spektakl pt. „Ballada na trzy biurka”. Jest to opowieść o trzech kobietach z trzech różnych pokoleń, które zostają przeniesione do jednego z pokoi nieskomputeryzowanego banku. Kadrowa, maszynistka i księgowa od tego momentu będą przechodziły przez piekło wspólnej pracy, nieświadome tego, że w finale spotka je wszystkie przykry los.

Zupełnie nie wiem, z jakiej perspektywy mam ocenić to przedstawienie. Doprawdy, czuję wielką niemoc w starciu z tym wyzwaniem. Z jednej strony chcę powiedzieć: nic nie było dobre - ani gra aktorska (manieryczna, przesadna, pozbawiona emocji), ani światła (statyczne), ani tekst (anachroniczny, pełen stereotypów). Z drugiej: kabaretowa, zręcznie ogrywana konwencja, dostarczała rozrywki. Może na tym kabaretowo-jarmarcznym aspekcie skupię się najbardziej.

Każda z pań weszła w wybraną przez siebie formę, rezygnując całkowicie z interakcji między sobą. Jednym wychodziło to lepiej, innym gorzej (zdaje się, kwestia emploi), jednak nie sposób odmówić konsekwencji. Rzecz jasna, w takiej formule aktorki zwyczajnie, jak to się mówi w żargonie, „śpiewają”, źle akcentują wyrazy lub też akcentują kilka wyrazów w zdaniu. To tradycyjne błędy przeszkadzające w odbiorze. Żadna z nich nie prowadzi też jakiejkolwiek sprawy. Ot, zwykłe rozmowy w biurze, plotki, ploteczki (w formie epizodów przerywanych znanym motywem Polki Dziadek, sztandarowego utworu audycji Lato z Radiem) oraz sceniczne „puszczanie oka do widza”. Niemniej – szczególnie w wykonaniu Pani Bożeny Krawczyńskiej – było to szalenie ciekawe, przykuwające uwagę. I – choć brakowało chemii między kobiecym trio – można było, przy pewnym kompromisie, przejść z jednej płaszczyzny do drugiej; formuła została podana bez kompromisu, sprawa została przedstawiona jasno już na starcie. W takiej konwencji łatwo wpadki, jednak aktorzy w sposób mistrzowski potrafili z nich wybrnąć. Wcielający się w dyrektora, Pan Marian Kaleta, z humorem podsumował swój upadek, kiedy odjechało krzesło, na którym zamierzał usiąść, mówiąc: „ojej, aż mnie zgięło”. Nie wyszedł przy tym incydencie ze swojej roli, kontynuując dialog. Podobnie świetnie poradziły sobie panie – kiedy okazało się, że na scenie brakuje zapalniczki, przeszły naturalnie do ogrywania tego, improwizując dialog, ogrywając nieprzewidziane zdarzenie. I, choć wpadki były ewidentne i widoczne, to wręcz uatrakcyjniały spektakl. Pozwalała na to lekka forma.

Nie będę ukrywał, ale to w zasadzie tyle, ile można powiedzieć o spektaklu. Było lekko, nieangażująco i, w zasadzie, nieinteresująco. Przyznam szczerze, lubię Lato z Radiem, jednak „Ballada na trzy biurka” w wykonaniu Teatru Nocnych Marków to jednak nie moje klimaty.

Nikodem Księżak

Ocena: 2,5/5

Ocena widzów: 4,7/5

„Ponadczasowi, część 2”

Stowarzyszenie Miłośników Sztuki „PONADCZASOWI”, z Akademickiego Ośrodka Inicjatyw Artystycznych, składające się z osób w wieku 60+, tym razem mnie nie zaskoczyło. Co nie zmienia faktu, że był to naprawdę dobry spektakl. „Ucieczka/Wycieczka”, opowiada historię o grupie pensjonariuszy z domu Słodkiej Jesieni, którzy postanawiają przeżyć piękne chwile i decydują się na szalony krok, jakim jest ucieczka z pensjonatu.

„ (…) kariery mamy już zrobione, domy wybudowane, dzieci odchowane, nadszedł czas na realizację siebie i swoich marzeń. Każdy z nas kocha teatr i taka grupa się zebrała. Grupa ludzi, która czuje to co tworzy i odtwarza”. I to jest to, co w teatrze kocham najbardziej - jest robiony z pasji.

Warto zaznaczyć, że „Ucieczka/Wycieczka” jest scenariuszem oryginalnym, napisanym przez Izabelę Majewską, z pomocą aktorów. Na scenie seniorzy zaprezentowali kilka układów tanecznych oraz śpiewali piosenki, które, w większości, również były ich autorstwa.

Miałem przyjemność uczestniczyć w zeszłorocznym przedstawieniu „PONADCZASOWYCH” i przyznam się szczerze, że wywarło ono na mnie niesamowite wrażenie. Szczególnie końcówka, kiedy każdy z bohaterów opowiadał swoją historię. Wstyd się przyznać, ale podczas niektórych miałem łezkę w oku, ponieważ było to tak szczere i prawdziwe, że trafiło do mnie w stu procentach. Podczas wczorajszego spektaklu odniosłem wrażenie, że oglądam dalszy ciąg losów bohaterów z domu Słodkiej Jesieni. I chyba jest to mój pierwszy przypadek kiedy widzę kontynuację danej sztuki. Tylko, że tym razem dostałem większą dawkę humoru i nowe historie, których i tym razem słuchałem z zaciekawieniem. Zazdroszczę aktorom Stowarzyszenia pomysłu, odwagi i szczerości, którą nie boją się podzielić ze światem.

Jakub Lisiak

Ocena recenzenta: 4/5

Ocena widzów: 4,9/5

„Z wielką wolą”

Doczekaliśmy się na 28. ŁÓPCie pierwszego monodramu. Forma spektaklu jednego aktora powszechnie uważana jest za najtrudniejszą do wykonania, stanowi ogromne wyzwanie. Marta Hołyńska z Teatru W Trakcie postanowiła się z tym wyzwaniem zmierzyć.

Problem z amatorskimi monodramami polega na tym, że wprost, łopatologicznie wręcz, wskazują widzowi co ma myśleć o danej sprawie, pokazują czarno-biały świat. Często stanowią też platformę do totalnego otworzenia swojego wnętrza (to zresztą cecha teatru amatorskiego w ogóle, z tą

różnicą, że przy monodramie pozostaje się bez możliwości ucieczki czy przynajmniej schowania się). Co by nie powiedzieć, obie te rzeczy bywają nieznośne, albowiem świat nie jest czarno-biały, ani też nie jest przyjemnie widzowi obserwować całkowitą prywatę (nie po to wybieramy się do teatru). Nie od wszystkich tych rzeczy udało się Marcie Hołyńskiej uciec, a na pewno nie całkowicie.

„Wbrew mojej woli" to swego rodzaju protest wobec świata opanowanego przez pieniądz, opartego o mechanizmy korporacyjne oraz wszechobecną znieczulicę. Płynnie przechodząc przez te tematy Marta Hołyńska najlepiej wpadała w elementach komediowych. Szczególnie wtedy, gdy ogrywała scenki za pomocą pacynek. I to były właśnie te momenty, kiedy unikała bezpośredniego uzewnętrzniania się. Jednak na drugim biegunie pozostawały fragmenty, w których kompletnie się wyłączałem, a były one mianowicie wtedy, gdy aktorka stawała naprzeciw widzów z tzw. „szklankami w oczach". Tworzyła swego rodzaju tautologię – multiplikując przeżycie zawarte już w słowie.

Na plus należy zaliczyć wykonanie piosenek oraz ruch sceniczny. Marta Hołyńska poruszała się po scenie z pełną świadomością i pewnością, z odwagą wychodząc do widzów, stając tuż przed pierwszymi rzędami. Taka otwartość jest podstawą przy monodramie. Wspomniałem też o płynnym przechodzeniu z tematu na temat (o co trudno przy półgodzinnej formie, z jednoczesnym prowadzeniem wątku podstawowego). Ze swadą prowadziła różne rodzaje rozmów na różnych poziomach emocjonalnych, w różnych, tworzonych przez siebie warunkach. Sama przyznała, że zajęło jej to trochę czasu, by osiągnąć ten rodzaj świadomości scenicznej, ale uzyskany efekt wart był cierpliwości.

Sam temat, który podjęła jest jednak, jak już wspomniałem pokrótce na początku, dość oczywisty i lekko zużyty – trudno o nim opowiadać odkrywając jakieś nowe obszary. Łatwo popaść w banalizację, powtarzalność. Innymi słowy: największą siłą przedstawienia jest sama aktorka, Marta Hołyńska i, idąc za słowami jej bohaterki, jest jak „jednoosobowe przedsiębiorstwo, w które warto inwestować".

Nikodem Księżak

Ocena: 3,5/5

Ocena widzów: 4,2/5

"Piękno używanego Prusa"

Studio im. Samuela Becketta przeprowadziło szturm na zeszłoroczną Łóptę. Pokazując (bagatela) trzy spektakle, zespół Barbary Bortkiewicz podzielił publiczność. Z jednej strony zaprezentował dużą różnorodność w trzech skrajnie różnych opowieściach, z drugiej zaskoczył konsekwentnym

charakterem pisma reżyserki, wyczuwalnym w każdym spektaklu. To właśnie ten charakter, bardzo formalny, sztywny i oniryczny jednocześnie zraził największą część widzów. Uwagi dotyczące sztucznej maniery narzuconej aktorom sypały się zarówno ze strony widzów jak i jurorów. Jednocześnie nie sposób było nie docenić rytmu tych spektakli oraz niezwykłego wyczucia estetyki w obrazie kreowanym na scenie.

Zespół powrócił w tym roku z luźną adaptacją noweli Bolesława Prusa, "Kamizelka" i chociaż opinia widzów jest jeszcze bardziej podzielona niż w zeszłym roku, w opini piszącego te słowa reżyserka wraz z zespołem wyciągnęła prawidłowe wnioski z zeszłorocznej konfrontacji. Co więcej, spektakl "Kamizelka z second hend'u" uważam za najjaśniejszy punkt pierwszego dnia festiwalu (a tego konkretnego dnia centrum Łodzi rozbłysło setkami świateł).

Nowela Prusa trafiła do współczesnej Łodzi, do salonu odzieży używanej, gdzie trzy szwaczki poprawiają zużyte ubrania zanim trafią do sprzedaży. I właśnie do tego salonu trafia tytułowa kamizelka. Jest to zabieg o tyle trafiony, że wydaje się naturalną kontynuacją pomysłu fabularnego Prusa, w którym "główna bohaterka" także trafiła do narratora opowieści. Tym razem kolekcjoner został zastąpiony przez trzy charakterne kobiety, które zaistniały na scenie bardziej dzięki wyrazistości aktorek niż zabiegom scenariuszowym. Warto jednak nadmienić, że ze swoich zadań aktorki wywiązały się bardzo dobrze, tworząc trzy wyraziste postaci bez ocierania się o karykatury. To samo tyczy się postaci drugoplanowych - "wypindowanej" szefowej (to nie jest przytyk ;), tragicznej sąsiadki czy dziewczynki, która jakimś cudem połączyła niewinność dziecka z cynizmem szwaczek. Wszystkie aktorki być może operowały kliszami i uproszczeniami, ale ich naturalna surowość nadawała charakteru i stawała się częścią świata, przedstawionego na scenie. A świat ten został wykreowany z imponującym pietyzmem.

Z nielicznymi wyjątkami, dzisiejszego dnia wykorzystanie światła w spektaklach zostało potraktowane po macoszemu. Mając do dyspozycji całkiem sporą gamę możliwości oświetleniowych, większość zespołów zdecydowało się na metodę jednolitego, szerokiego światła. Innymi słowy, ważne żeby aktorów było widać i żeby mogli po scenie chodzić gdzie chcą. Przyjemnie było więc wejść na salę i zobaczyć pięknie oświetloną scenę, z niebieskimi kontrami i delikatnym żółtym światłem wydobywającym aktorki z tła. Całości dopełniły ubrania tworząco nietypową kurtynę na proscenium. Widać dbałość o obraz na scenie i bardzo duże wyczucie w jego malowaniu. Ja od razu zostałem kupiony. Przekraczając drzwi znalazłem się w innym świecie i, jak powiedział jeden z jurorów, był to świat który już tam istniał, trwał od jakiegoś czasu a widzowie mogli się zastanawiać nad tym co działo się kilka minut przed naszym wejściem.

Ta drobiazgowość w kreacji świata przełożyła się także na dźwięk. Głosy z offu, jakże ważne w treści spektaklu, faktycznie dobiegały zza ściany. Dźwięk karetki pogotowia, faktycznie dobiegał zza otworzonego okna. Można było pójść na łatwiznę - nagrać je wcześniej i puścić z laptopa przez głośniki - ale wtedy, ten subtelny świat wykreowany na scenie prysnąłby jak bańka mydlana. Doceniam starania zespołu aby tą subtelność przy życiu utrzymać.

Skąd więc te podzielone głosy publiczności?

Po raz kolejny pani Bortkiewicz opowiadała swoją historię niespiesznie. Brakowało mocnych

akcentów czy nawet przyspieszenia akcji. Wszystko powoli sączyło się ze sceny, co można nazwać monotonnością. Mnie jednak to nie przeszkadzało. Wszystko było spójne i przede wszystkim, nieprzypadkowe. Muszę nawet przyznać że Pani Barbarze zazdroszczę, już jako twórca. Znalezienie własnego języka w jakiejkolwiek twórczej dziedzinie wymaga wielu błędów i mnóstwa wątpliwości. Ja sam po kilku latach tworzenia własnych spektakli nie wiem czy chociaż zbliżyłem się do wykreowania własnego stylu. A Pani Bortkiewicz, jak się wydaje w sposób zupełnie naturalny i bezwysiłkowy, znalazła ten język i go rozwija. Czekam na przyszłą Łóptę i na kolejny spektakl.

Piotr Maszorek

Ocena: 4,5/5

Ocena widzów: 4,1/5